

ANALIZY

Zdzisław M. Rurarz

Stan narodu i państwa polskiego

(1)

Polacy, idąc we wrześniu do urn wyborczych dla wyłonienia nowego parlamentu, muszą przede wszystkim zdawać sobie sprawę ze stanu narodu i państwa, jeśli w ogóle chcą coś zmienić na lepsze. Skoro bowiem zdobywają się już na werdykt wyborczy, to muszą dokładnie wiedzieć co naprawę wymaga gruntownej i szybkiej poprawy i komu powierzyć realizację wynikających stąd zadań.

Z tego też powodu Polacy muszą przede wszystkim precyzyjnie określić stan wyjściowy, w którym aktualnie znajduje się naród i państwo, ażeby mieć wizję koniecznych zmian. Tym bardziej, że określenie tego stanu w sposób obiektywny jest wysoce trudne w sytuacji walki wyborczej. Siły będące aktualnie u władzy, istniejący stan narodu i państwa będą widzieć w różowych kolorach, sobie oczywiście przypisując zasługę za jego poprawę w ciągu czterolecia swoich rządów. Siły natomiast chcące zdobyć władzę będą z kolei stan ten widzieć w ciemnych kolorach dla zapewnienia sobie zwycię-

stwa. Prawda zaś, jak zwykle, leży gdzieś pośrodku, choć konia z rzędem temu, kto zgadnie co to konkretnie oznacza.

A jak naprawdę ma się stan narodu

A zatem, biorąc się za obiektywną ocenę istniejącego stanu rzeczy, każdy taki śmiać ryzykuje wielce, stając natychmiast przed odwiecznym dylematem: - czy szklanka jest w połowie pełna, czy w połowie pusta? Niby jest to właśnie jedno i to samo, ale "politycznie" tak nie jest. Chodzi bowiem o to, czy wypełnienie szklanki tylko do połowy jest sukcesem rządzących, czy też ich porażką? Zawsze przecież można mówić, iż dobrze się stało, że choć w połowie udało się napełnić szklankę w istniejącej sytuacji. Podobnie jak można też twierdzić odwrotnie, stawiając zarzut rządzącym, że zmarnowali szansę napełnienia jej po brzegi.

Mając to wszystko na uwadze, spróbuję podjąć się jednakże tego niewdzięcznego zadania, ale z uwagą wstępną, że w dwuodcinkowym artykule nie sposób choćby w części przedstawić tak złożony problem jak stan narodu i państwa polskiego. Brak miejsca zmusza bowiem do wyboru tylko niektórych jego stron, niekoniecznie najważniejszych w powszechnej percepcji społecznej, opatrzonych jedynie krótkim i lakonicznym komentarzem. Inny, bardziej pogłębiony, byłby ze względu na brak miejsca absolutnie niemożliwy.

Od czego więc zacząć?

Ano, chyba od demografii, choć zaraz

Inną alarmującą wieścią są dane na temat noworodków polskich, które są ostatnio mniejsze, lżejsze i mniej zdrowe od tych sprzed kilkunastu lat.

Tak więc, są to powody do zmartwień.

Z drugiej strony jednakże nie należy zapominać, że dzień dzisiejszy nie zawsze daje pełnię obrazu dnia jutrzejszego. Omawiana bowiem "zapaść demograficzna" w Polsce odczuwana będzie w pełni dopiero po latach, ale w najbliższym okresie będzie ona wyglądać zupełnie inaczej.

W latach 1991-2010 bowiem, ilość Polaków w wieku produkcyjnym, ze względu na wcześniejszy ich dość wysoki przyrost naturalny, a nie ten obecny, zwiększy się o 2,7 mln, podczas gdy w całej Europie Zachodniej, 10-krotnie liczniejszej od Polski, jedynie o 4,7 mln. Z tego powodu już dziś Unia Europejska boi się, że ci młodzi Polacy, jeśli ich kraj stanie się jej członkiem, zaleją tamten rynek pracy...

A jeśli nie zaleją, to gdzie ich w Polsce zatrudnić?

Pozostawiając pytanie to bez odpowiedzi, przynajmniej na razie, przejdźmy do innych problemów.

A więc, co sami Polacy mówią o swoim bytowaniu? Rzecz przecież niezwykle ważna

Co jednakże oznacza owo "gorzej"?

Za miarkę ubóstwa uznano dochód na osobę równy emeryturze, a więc sumę 280 złotych miesięcznie, choć jednak ósma emerytów uważa swój bardzo skromny byt za... dobry.

Niemniej jednak, licząc w ten sposób ludzi z dochodami miesięcznymi 280 złotych na głowę, lub poniżej, czyli ok. 100 dolarów, była ich w Polsce w 1996 r. aż połowa. Ponieważ jednak tacy Polacy nie szczyją się swoją biedą, więc nazywa się ich nie "ubogimi", ale "żyjącymi w niedostatku"...

Nie wchodząc jednak w różnice semantyczne faktem jest, że społeczeństwo polskie jest ubogie, a wspomniane niecałe 100 dolarów miesięcznego dochodu nie zawsze ma większą siłę nabywczą niż na przykład w USA. Żywność jest przecież w Polsce niewiele tańsza, a benzyna, ostatnio jeden z towarów niemal pierwszej potrzeby, jest średnio ponad 4-krotnie droższa.

Najbardziej jednakże niepokoi w Polsce zjawisko, że im ktoś młodszy - tym bardziej zagrożony ubóstwem. A przecież to młodzi Polacy są głównie odpowiedzialni za przyrost naturalny narodu!

Problemem ponadto, którego w czasach PRL nie było, stało się bezrobocie, bardzo

i państwa będą widzieć w różnych kolorach, sobie oczywiście przypisując zasługę za jego poprawę w ciągu czterolecia swoich rządów. Siły natomiast chcące zdobyć władzę będą z kolei stan ten widzieć w ciemnych kolorach dla zapewnienia sobie zwycięstwa.

Prawda zaś, jak zwykle, leży gdzieś pośrodku, choć konia z rzędem temu, kto zgadnie co to konkretnie oznacza.

A jak naprawdę ma się stan narodu i państwa polskiego?

Mówiąc najkrócej, dobrze nie jest, ani tym bardziej bardzo dobrze, jak to wmawia narodowi rządząca koalicja SLD-PSL, która na wzór PRL od pewnego czasu uprawia "propagandę sukcesu".

Nie jest też, z drugiej strony, przynajmniej na dzień dzisiejszy, bardzo źle, czy nawet źle, porównując sytuację w Polsce do większości tzw. krajów postkomunistycznych.

Stąd też obiektywna ocena istniejącego stanu rzeczy jest wielce skomplikowana w sytuacji wspomnianego dwugłosu.

Skomplikowana jest także i dlatego, że stan narodu i państwa, to nie jakaś chwilowa sytuacja w określonym punkcie czasu, ale o wiele bardziej złożony spłot czynników przeszłych, teraźniejszych i przyszłych. Niezły na przykład stan na dzień dzisiejszy może być rezultatem zaszłości z bliższej i dalszej przeszłości, jak też wyjątkowo pomyślnego zbiegu różnych wydarzeń bieżących.

Co więcej, stan na dzień dzisiejszy może maskować stan na dzień jutrzejszy.

W każdym razie, nie wolno wpadać w przesadę w ocenie istniejącej sytuacji, ani "na różowo", ani "na czarno". To ostatnie, co miejscami z zapalem czyni opozycja, jest nawet niebezpieczne. Kolorom ciemnym trzeba bowiem w kampanii wyborczej przeciwstawić kolory różowe, czyli programy szybkiego uzdrowienia istniejącego stanu rzeczy. Ludzie coś takiego zapamiętają sobie i jeśli obietniczki okażą się nierealne, to ewentualnie zwycięska opozycja szybko wpadnie we własną pułapkę i długo nie nacieszy się zdobytą władzą.

komym artykule nie sposób choćby w części przedstawić tak złożony problem jak stan narodu i państwa polskiego. Brak miejsca zmusza bowiem do wyboru tylko niektórych jego stron, niekoniecznie najważniejszych w powszechnej percepcji społecznej, opatrzonych jedynie krótkim i lakonicznym komentarzem. Inny, bardziej pogłębiony, byłby ze względu na brak miejsca absolutnie niemożliwy.

Od czego więc zacząć?

Ano, chyba od demografii, choć zaraz okaże się jak prosta niby sprawa jest jednakże skomplikowana od strony jednoznacznej oceny.

Konkretnie mówiąc, w Polsce występuje ostatnio zjawisko niemal zerowego przyrostu naturalnego. W 1995 r. ilość Polaków zwiększyła się o 43 tys., podczas gdy w 1996 r. jedynie o 34 tysiące.

Co gorsza, działa się to w okresie faktycznie obowiązującego zakazu przerywania ciąży, jak też wzmożonego nacisku Kościoła na wiernych, żeby nie niszczyć poczętego życia.

Innymi słowy minęły czasy z początku lat 50., kiedy to mniejszy o 12 milionów naród, w dodatku uboższy niż obecnie, miał przyrost naturalny powyżej pół miliona rocznie!

Czy jednakże niemal zerowy przyrost naturalny narodu polskiego należy uważać za klęskę, czy też może za zjawisko charakterystyczne dla wszystkich krajów osiągających poziom tzw. dojrzałości rozwojowej?

A jeśli uznać za klęskę, to gdzie są jej winowajcy i jak zamienić ją w triumf i to możliwie szybko?

Inny problem, to stagnacja przeciętnej życia w Polsce. W czasach PRL zwiększyła się ona prawie o 10 lat, przekraczając 67 lat dla mężczyzn oraz 76 lat dla kobiet. Nie było to co prawda wynikiem kwalifikującym Polskę do czołówki światowej, gdzie przeciętna życia jest wyższa prawie o 10 lat, ale był to niewątpliwie olbrzymi krok do przodu.

Niestety, ostatnimi laty przeciętna życia w Polsce nie tylko nie wzrasta, ale nawet jakby miała tendencję do niewielkiego spadku.

Cóż więc robić, żeby poprawić ten stan rzeczy?

ie o 4,7 mln. Z tego powodu już dziś Unia Europejska boi się, że ci młodzi Polacy, jeśli ich kraj stanie się jej członkiem, zaleją tamten rynek pracy...

A jeśli nie zaleją, to gdzie ich w Polsce zatrudnić?

Pozostawiając pytanie to bez odpowiedzi, przynajmniej na razie, przejdźmy do innych problemów.

A więc, co sami Polacy mówią o swoim bytowaniu? Rzecz przecież niezwykle ważna dla wszystkich sił politycznych. Ponadto, na ile zgadza się to z naukowo-statystycznymi badaniami na ten temat?

Otóż, opinie niejednokrotnie różnią się dość poważnie, choć miejscami są jednocześnie zaskakująco zbliżone.

Tak na przykład, tylko 5 proc. Polaków nie narzeka na swój byt, ale z drugiej strony tylko 7 procent uważa się za żyjących w biedzie.

Jak więc jest naprawdę? Niestety, nie bardzo wiadomo. Ludzie bardzo ubodzy, z dochodem miesięcznym do 150 złotych, czyli ok. 50 dolarów, uważali w połowie ub. roku, że do absolutnego szczęścia wystarczyłoby im 776 zł miesięcznie, a więc aż ponad 4-krotnie więcej. Z kolei ludzie o dochodach 400 złotych miesięcznie za "absolutne szczęście" uważaliby dochód co najmniej 1.425 złotych, a więc ponad dwukrotnie wyższy.

Jaki płynie stąd wniosek? Chyba taki, że bieda jest pojęciem względnym w Polsce, co może prowadzić do różnych wniosków, szczególnie ważnych dla sił politycznych dążących do radykalnej poprawy stopy życiowej.

Z tego też powodu trzeba sięgnąć do badań naukowych, a nie tylko poglądów ludzkich, żeby ustalić prawdziwy stopień ubóstwa społeczeństwa polskiego.

Badania takie, prowadzone przez GUS, Główny Urząd Statystyczny, jak też IPiSS, Instytut Pracy i Spraw Socjalnych, wykazują zgodnie, że pookragłostołowa Polska stała się "krajem ubóstwa". Tylko 10-15 proc. jejog ludności ma się lepiej, podczas gdy pozostała reszta gorzej.

w USA. Żywność jest przecież w Polsce niewiele tańsza, a benzyna, ostatnio jeden z towarów niemal pierwszej potrzeby, jest średnio ponad 4-krotnie droższa.

Najbardziej jednakże niepokoi w Polsce zjawisko, że im ktoś młodszy - tym bardziej zagrożony ubóstwem. A przecież to młodzi Polacy są głównie odpowiedzialni za przyrost naturalny narodu!

Problemem ponadto, którego w czasach PRL nie było, stało się bezrobocie, bardzo poważnie wpływające na ogólny stan zamożności społeczeństwa. Bezrobotni, wraz z członkami swoich rodzin, liczą dziś prawie 8 milionów, a więc ponad jedną piątą narodu.

Prawda, z tym bezrobociem różnie bywa i możliwe, iż w praktyce jest ono mniej dokuczliwe, ale biorąc pod uwagę jego strukturę, dotyczącą głównie ludzi młodych, jak też kobiety, często jedyne żywicielki, to sprawa staje się poważna. Zwłaszcza, że 1,4 mln bezrobotnych, to małżeństwa z dziećmi, a w ogóle co czwarta rodzina wielodzietna w Polsce objęta jest bezrobociem.

Poza tym, jest też bardzo możliwe, że bezrobocie, wahaając się w granicach 2,4 mln, czyli prawie 14 procent siły roboczej w ogóle, jest w rzeczywistości większe. Nikt bowiem nie liczy już bezrobotnych na wsi, a same PGR-y, Państwowe Gospodarstwa Rolne, które już nie istnieją, zatrudniały przecież ponad 400 tysięcy ludzi.

W miastach i miasteczkach zresztą, też często jest nie lepiej. Wiele osób zrezygnowało już z poszukiwania pracy i nie figuruje jako bezrobotni.

Ponadto, nawet ludzie mający pracę są jej niepewni. Badania zaś wykazują, że strach przed jej utratą stał się dziś problemem nr 1 w społeczeństwie.

W dodatku, praca pracy nierówna. Płace w przedsiębiorstwach bankrutujących, głównie państwowych, podobnie jak w tzw. sferze budżetowej, obejmującej m.in. służbę zdrowia, oświatę i kulturę, są o wiele niższe niż w pozostałych działach gospodarki, choć jeszcze w latach 1989-1990 były z grubsza wyrównane.

ANALIZY

Tak czy inaczej, Polacy, przynajmniej według kryteriów stosowanych w Unii Europejskiej, są uważani za "naród ubogi", choć można się spierać co dokładnie rozumie się pod tym pojęciem.

Szczególnie niepokojąca jest sytuacja na wsi, gdzie ponad połowa jej mieszkańców, szczególnie ludzie starzy i chorzy, żyje w bezwzględnym ubóstwie, a więc z miesięcznymi dochodami poniżej 150 złotych.

Bardzo ciężka jest też sytuacja rodzin notorycznych pijaków, obejmująca ponad 2,5 mln Polaków, podobnie jak 5-milionowa armia ludzi niepełnosprawnych.

Tragiczna jest sytuacja sierot i dzieci porzuconych, a także ludzi bezdomnych, zjawisko do niedawna w Polsce nieznanne, a dziś przekraczające poziom 100 tysięcy i z tendencją do szybkiego wzrostu.

Innym problemem, który już teraz, a jeszcze bardziej w najbliższej przyszłości grozi katastrofą narodową, jest problem emerytur i rent. Już dziś dochód narodowy kraju w 15. procentach obciążony jest świadczeniami emerytalno-rentowymi, a więc w stopniu prawie 2-krotnie wyższym niż w o wiele bogatszej Europie Zachodniej.

Nie wchodząc w szczegóły, zagwarantowanie normalnego funkcjonowania systemu emerytalno-rentowego wymagać będzie znalezienia, niezależnie już od konieczności jego reformy, sumy 35-45 miliardów dolarów, żeby on jakoś "zaskoczył", gdyż potem może to być już mechanizm samoczynny.

Skąd jednakże wziąć taką sumę? Zwiększyć podatków już nie można, gdyż są za wysokie, a uzyskanie tej sumy z prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych jest wątpliwe. Chętnych do ich zakupu nie ma, a ponadto zbyt wiele rąk wyciąga się po te pieniądze.

Na tym nie koniec. Sytuacja społeczno-gospodarcza, która m.in. ma wpływ na przyrost naturalny w Polsce, dramatycznie kształ-

w kraju, nie mówiąc już o trwałości małżeństw i stanie psychicznym narodu.

Oczywiście, w związku z malejącym przyrostem naturalnym sytuacja na odcinku wielkości powierzchni mieszkalnej na statystyczną rodzinę nawet poprawiła się nieco ostatnio, ale jest to poprawa iluzoryczna i wymuszona szczególną sytuacją demograficzną.

Ktokolwiek nie zwycięży więc w nadchodzących wyborach - zderzy się z dramatyczną sytuacją mieszkaniową.

I co tu dużo mówić, nawet w najlepszym przypadku nie rozwiąże jej w ciągu jednej kadencji Zgromadzenie Narodowe, czyli w czteroletnim okresie, gdyż na to potrzeba jednego pokolenia, ok. 25 lat i przy większym bez porównania tempie budownictwa.

Zresztą, oprócz mieszkań jest też przecież, a nawet przede wszystkim, problem ogólnej poprawy bytu społeczeństwa.

Odnosnie poprawy tego bytu, to statystyki krajowe dość zamazują obraz zmian, jakie nastąpiły na tym odcinku w ciągu ostatnich lat. Za okres porównawczy bowiem podaje się 1983 r., kiedy to stopa życiowa społeczeństwa była niższa od tej w 1978 r.

Ponadto, ceny w międzyczasie uległy tak zawrotnym zmianom, że trudno połapać się w zaszłych zmianach w stopie życiowej w porównywalnym okresie. Jedynie jednostki fizycznie spożywanych dóbr i usług dają jakiś obraz zaszłych zmian, ale też nie zawsze.

Spożycie mięsa na przykład, do niedawna głównej miarki "polskiego dobrobytu", produktu aż trzykrotnie powodującego w PRL znane wydarzenia, kiedy to próbowano podnieść jego cenę, tylko w latach 90. spadło niemal o 10 kilogramów na głowę mieszkańca, a w porównaniu do 1978 r. o 12 kilogramów, wynosząc obecnie 62 kilogramy.

Podchodząc jednak szerzej do sprawy,

krotnie więcej niż w 1989 r. Szczególnie drogie staje się szkolnictwo wyższe, głównie ze względu na jego prywatny rozwój (dziś jest w Polsce już 111 wyższych uczelni prywatnych, podczas gdy w PRL była tylko jedna, Katolicki Uniwersytet Lubelski). Również wydatki na transport i łączność, które pochłaniają jedną dziesiątą budżetów rodzinnych, relatywnie dwukrotnie więcej niż w 1989 r., to następny i politycznie nośny problem.

Politycznie ważne rysują się także te dziedziny, gdzie występuje relatywny spadek wydatków, jak na kulturę, sport i wypoczynek. Spadek ten należy tłumaczyć bowiem nie nasyceciem popytu, a brakiem środków na jego zaspokojenie.

Mniejszym natomiast relatywnie problemem wydaje się być odzież i obuwie, ale nie jest pewne czy nie jest to aby wynikiem wymuszonego oszczędzania na tych wydatkach, podobnie jak na żywności, dla wygospodarowania koniecznych funduszy na inne cele.

Konkluzja w związku z tym stanem rzeczy jest zaś taka, że każda siła polityczna w Polsce staje w obliczu wysoce skomplikowanych wyzwań natury bytowej społeczeństwa. Ich rozwiązanie, aczkolwiek stwarzające wdzięczne pole do popisu dla wszelkiego rodzaju demagogii, nie jest ani łatwe, ani nie może być szybkie.

Przeciwnie, w nie sprzyjających warunkach jest ono w ogóle niemożliwe. Wzrost obsługi zadłużenia zewnętrznego, rzecz absolutnie pewna w najbliższych latach, przy ewentualnym spadku napływu kapitału obcego, rzecz bardzo możliwa, w połączeniu z koniecznym wzrostem inwestycji, nie mówiąc już o różnych przykrych niespodziankach natury gospodarczej, politycznej czy atmosferycznej, może spowodować pogorszenie się obecnych warunków bytu społeczeństwa.

Reasumując zatem ten dział zagadnień

może tego uczynić mając 36 procent swoich mieszkańców na wsi.

Mówiąc bez ogródek, udział ten jest nie tylko co najmniej 3-4-krotnie za wysoki, ale ponadto jest przysłowiową kulą u nogi całej gospodarki. Wydajność rolnictwa jest bowiem przeciętnie 3-krotnie niższa niż pozostałych działów gospodarki, co nie może być dłużej tolerowane. Tym bardziej, że po 1989 r. poziom produkcji rolnej spadł o jedną dziesiątą, choć ilość rąk do pracy na wsi wzrosła o 13 procent, jak też znacznie, w porównaniu do czasów PRL, wzrosły dopłaty z budżetu dla ludności rolniczej. Gdyby nie te dopłaty zresztą, szczególnie emerytury i renty dla rolników, subsydiowane przez podatnika spoza sfery rolnej, to wieś byłaby w stanie o wiele bardziej opłakanym, niż to ma miejsce obecnie.

I wreszcie, nie można tolerować takiego stanu rzeczy, w którym Polska więcej żywności przywozi z zewnątrz, niż jej tam wywozi, a przy tym ceny jej dla przeciętnej rodziny są ciągle za wysokie. Ponadto, na wsi jest relatywnie największy obszar nędzy i największe zacofanie pod względem poziomu oświaty i kultury.

Rozwiązanie jednakże problemu rolnictwa, rzecz więcej niż oczywista, nie jest możliwe w ciągu kilku lat. Jest to sprawa co najmniej jednego pokolenia, przy założeniu w dodatku, że podejździe się do niego "z głową", rzecz bynajmniej nie taka oczywista w konkretnych warunkach polskich.

Partia chłopska, jaką jest PSL, Polskie Stronnictwo Ludowe, które na krajowej scenie politycznej odgrywa znaczną, a nawet nadmierną rolę, jest siłą najmniej przygotowaną do rozwiązania tych wyzwań w rolnictwie.

Cóż bowiem konkretnie oznacza zapis w projekcie Konstytucji, przeforsowany przez PSL, o "rodzinnym gospodarstwie" jako podstawie polskiego rolnictwa?

to być już mechanizmem samoczynnym.

Skąd jednakże wziąć taką sumę? Zwiększyć podatków już nie można, gdyż są za wysokie, a uzyskanie tej sumy z prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych jest wątpliwe. Chętnych do ich zakupu nie ma, a ponadto zbyt wiele rąk wyciąga się po te pieniądze.

Na tym nie koniec. Sytuacja społeczno-gospodarcza, która m.in. ma wpływ na przyrost naturalny w Polsce, dramatycznie kształtuje się ostatnio na odcinku mieszkaniowym.

Reforma rynkowa, która z mieszkania miała uczynić towar jak każdy inny, jak dotąd załamała się na całej linii. Okazuje się bowiem, że licząc płace realne w metrach kwadratowych powierzchni mieszkalnej, w latach 90. spadły one 2-4 razy w zależności od regionu kraju! Budownictwo mieszkaniowe zatem niezwykle podrożało, co zmusiło wielu ludzi do rezygnacji z oszczędzania na dach nad głową. W związku z tym doszło nawet do paradoksalnej sytuacji, gdyż ludzie, nie mając pieniędzy za mieszkanie, kupują samochody. Rezultat tego zaś jest taki, że jeszcze bardziej zmniejszają w ten sposób swoją zdolność oszczędzania na własny kąt...

A w ogóle, to budownictwo mieszkaniowe dramatycznie spadło, osiągając poziom z początku lat 50. Aktualny deficyt mieszkań wynosi ok. 1,5 miliona i nadal rośnie. Oznacza to, że ok. 4,5 mln Polaków mieszka kątem u kogoś, albo że część z nich jest w ogóle bezdomna. Jeśli do tego jeszcze dodać 1 mln mieszkań wymagających natychmiastowego generalnego remontu, jak też 300 tys. wymagających wykwaterowania i wyburzenia, to polski dramat mieszkaniowy urasta do tragedii narodowej.

Krótko mówiąc, prawie jedna czwarta narodu albo nie ma własnego mieszkania, albo mieszka w lokalach nie nadających się do zamieszkania w ogóle.

Sytuacja mieszkaniowa jest ponadto o tyle niepokojąca, że na zakup własnego kąta nie tylko nie stać ludzi niezamożnych, ale ostatnio także średniozamożnych, a często nawet zamożnych, zwłaszcza chcących mieszkań o wyższym standardzie.

Rzecz jasna, ten stan rzeczy ma wpływ na zakładanie rodzin i przyrost naturalny

wsze.

Spożycie mięsa na przykład, do niedawna głównej miarki "polskiego dobrobytu", produktu aż trzykrotnie powodującego w PRL znane wydarzenia, kiedy to próbowano podnieść jego cenę, tylko w latach 90. spadło niemal o 10 kilogramów na głowę mieszkańca, a w porównaniu do 1978 r. o 12 kilogramów, wynosząc obecnie 62 kilogramy.

Podchodząc jednak szerzej do sprawy, jak też za podstawę porównań biorąc 1989 r., od kiedy to zaczęły następować znane przemiany, udział wydatków na żywność w budżecie rodziny polskiej spadł z niemal 48 do 38 procent. Zmiana na pierwszy rzut oka korzystna, ale wcale nie związana ze wzrostem zamożności społeczeństwa. Konsumpcja żywności bowiem w rodzinach polskich nie zwiększyła się w międzyczasie, a raczej spadła, mimo że nastąpiły w jej strukturze korzystne przesunięcia.

Niemniej jednak, margines wzrostu konsumpcji żywności jest w Polsce jeszcze nadal dość znaczny i każda siła polityczna biorąca władzę musi się z tym liczyć.

Na drugą po żywności pozycję w budżetach rodzinnych wyszło mieszkanie, które obecnie pochłania 21 procent wydatków, podczas gdy w 1989 r. 13,6 procent. W wydatkach tych dramatycznie wzrosły tzw. stałe opłaty mieszkaniowe, tj. czynsz, opał, energia i gaz z niemal jednej piątej ogólnych wydatków mieszkaniowych do prawie 70 procent. Wydatki te mają ponadto tendencję do dalszego i szybkiego wzrostu.

Wniosek z powyższego stanu sytuacji dla sił politycznych jest zaś taki, że szeroko pojęty problem mieszkaniowy urasta po żywności do najważniejszego problemu bytowego społeczeństwa, miejscami wychodząc nawet na pierwsze miejsce.

Dramatyczny również jest wzrost obciążeń budżetów rodzinnych wydatkami na zdrowie. O ile w 1989 r. pochłaniały one tylko 0,6 proce. budżetu, to w 1996 r. już 3,6 proc. i rosą nadal.

Problem wydatków na zdrowie staje się więc coraz bardziej politycznie nośny, podobnie jak wydatki na naukę i oświatę, które również kosztują coraz drożej, 2,5-

obsługi zadłużenia zewnętrznego, rzecz absolutnie pewna w najbliższych latach, przy ewentualnym spadku napływu kapitału obcego, rzecz bardzo możliwa, w połączeniu z koniecznym wzrostem inwestycji, nie mówiąc już o różnych przykrych niespodziankach natury gospodarczej, politycznej czy atmosferycznej, może spowodować pogorszenie się obecnych warunków bytu społeczeństwa.

Reasumując zatem ten dział zagadnień społeczno-gospodarczych, można wyodrębnić co najmniej dwa palące zadania, za których konsekwentną realizację musi wziąć się każda siła polityczna, której marzy się sprawowanie władzy w kraju.

Pierwszym jest zlikwidowanie, albo przynajmniej drastyczne ograniczenie bezrobocia, którego w warunkach polskiej biedy nie można tolerować, a tym bardziej dokładać do niego ze skromnych oszczędności całego społeczeństwa. Każdy zasiłek dla bezrobotnego, choćby niewielki, jest bezwzględnie czystą stratą.

Rozwiązanie problemu bezrobocia jest jednakże zadaniem wysoce skomplikowanym. Bezrobotnych nie wchłonie rolnictwo, które ma nadmiar rąk do pracy, ani przemysł, gdzie zatrudnienie jest też nadmierne, nie mówiąc już o tym, że pod względem branżowym dalekie od najbardziej celowego.

Nie może też nadal wzrastać zatrudnienie w szeroko pojętej biurokracji, w której konieczne są drastyczne cięcia.

Cała zatem nadzieja wzrostu zatrudnienia zasadza się na usługach, budownictwie oraz drobnej wytwórczości.

Ten rodzaj zatrudnienia jednakże jest niepodatny na jakieś spektakularne działania ze strony władz państwowych. Wiele bowiem wzajemnie sprzężonych działań, często dla oka niepozornych, musi się złożyć na powstanie warunków w tych działach gospodarki do wchłaniania w sposób ciągły siły roboczej.

Drugim i nie mniej skomplikowanym zadaniem, w znacznym stopniu wiążącym się z pierwszym, jest rozwiązanie sprawy szeroko pojętego rolnictwa. Polska bowiem, jeśli naprawdę zostanie członkiem Unii Europejskiej i będzie chciał dorównać jej kroku, nie

nie może być bliżej nie taka oczywista

w konkretnych warunkach polskich. Partia chłopska, jaką jest PSL, Polskie Stronnictwo Ludowe, które na krajowej scenie politycznej odgrywa znaczną, a nawet nadmierną rolę, jest siłą najmniej przygotowaną do rozwiązania tych wyzwań w rolnictwie.

Cóż bowiem konkretnie oznacza zapis w projekcie Konstytucji, przeforsowany przez PSL, o "rodzinnym gospodarstwie" jako podstawie polskiego rolnictwa?

Nie wie tego, niestety, ani PSL, ani żadna inna partia polityczna w Polsce. Zapis jednak przeforsowano, gdyż nikt nie chce zdzierać z elektoratem wiejskim.

Marazm więc na odcinku rolnym nie tylko trwa, ale nawet pogłębia się. Nie tylko nie ma celowych i koniecznych działań długofalowych, ale te doraźne, krótkofalowe, forsowane przez PSL, podcinają te pierwsze.

Tak na przykład, ustalenie wysokich cen skupu zboża, gwarantowanych i subsydiowanych przez podatnika, powoduje w efekcie nierentowność gospodarki hodowlanej, która nawet w PRL poczyniła postępy, a teraz cofa się, zmiana na wsi najbardziej niekorzystna.

Stąd też jest co robić w Polsce i pracy nie zabraknie dla żadnej z sił politycznych, jeśli tylko serio chciałyby zabrać się do dzieła i umiały nim pokierować, rzecz wcale nie tak pewna w istniejącej w kraju sytuacji.

Najważniejszym jednak zadaniem, którego rozwiązanie może "po drodze" załatwić także sprawy wspomniane powyżej, to po prostu przyspieszenie tempa rozwoju gospodarki polskiej, jak też wybór najbardziej celowego profilu produkcji, który wreszcie awansowałby ją do grona gospodarek wysocekorozwiniętych.

O tej sprawie napiszę jednakże w następnym i ostatnim odcinku artykułu.

Od Redakcji: W artykule Z. Rurarza "Odszedł 'car ekonomiczny...'" z 28 lutego br. wkradły się niektóre chochliki drukarskie.

Tak np. M. Jagielski był przewodniczącym Komisji Planowania do 1975 r., a nie od 1975 r. W innym miejscu powinno być: "gospodarka polska jest tylko w połowie gospodarką rynkową, a nie "tylko rynkową". Przepraszamy.